Nr. 40. We Lwowie dnia 17. listopada 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

Mgła.

humoreska

przez

M. G.

W świecie — który, jak mówią — nazywa się zabity deskami, winien panować spokój; dzieje się jednak zwykle przeciwnie. Plotko i niezgodo! ty tylko nigdy nie zabita — choćby nawet i deskami — wyściubiasz wszędy nos swój, węszący fałszywie.

Była tedy wioska górska, odgrodzona od świata wcale niegrzeczną rzeką i jeszcze mniej delikatną drogą, która o wiele więcej podobną była do niezdobytych fortec, niż do środka komunikacji człowieczej. Przyzwyczajenie jest jednak drugą naturą, i świat ten, deskami zabity, drzemał spokojnie.

Jeżeli jednak, według zdania króla Filipa, niema tak silnej fortecy, by osieł, obładowany złotem, wejść tam nie mógł, to znowu niema tak złej drogi, ażeby jej nieprzebył inspektor podatkowy, który właśnie po masie uderzeń o kamień, przechyleń strasznych i prawie wywrocie, zdołał dostać się do dworu, gdzie w niedługą chwilę widzimy go, grającego w preferansa z gospodarzem i sąsiadem, przybyłym konno.

„Fatalnie" — mówił sąsiad, patrząc na inspektora — „Żyto porosło do szczętu, owies zgnił w polu, — i z czegoż tu płacić podatki?"

„Co tam u ciebie!" — odpowie gospodarz „Ty masz przynajmniej spokój z gromadą i ze starym proboszczem, ale ja!.., to niech djabli!... ani wytrzymać!... Chłopów mi mój ksiądz buntuje, szkody mi w polu robi — moskal! Teraz zachciało mu się drogą moją pędzić bydło — ale niedoczekanie jego! — Nie dam na piędź własności mojej urwać, nie pozwolę!" — i zaczął zapalać się, jak gdyby mu kto oponował, zakończył zaś groźbą, że jak ksiądz poważy się jeszcze raz tamtędy woły pędzić, niechybnie do dworu zagrabić je każe.

Urzędnik na wzmiankę wołów połknął ślinkę i rzekł „Oj, gdzież tam u nas w mieście prawdziwej wołowiny! — mięso co raz drożeje, a liche — i jarzyn nawet trudno się dokupić.

Gospodarz, mając w domu tłuste kapłony, ani domyślił się smutnego stanu żołądków małomiejskich. Wrócił się zaraz do szkód, wyrządzonych mu przez księdza, podczas gdy sąsiad podnosił okoliczności klęski zbożowej i podniecony znaną żyłką szlachecką, wyciągał do góry szyję, aby się przyjrzeć przez okno kręcącym się to w tę, to w ową stronę młodym dziewczętom wiejskim, na które wnet rozmowa weszedłszy z widoczną delektacją wiedziona, szkody polne i klęski zbożów wyrugowała a szlachcice, znalazłszy się w swoim żywiole, ani zważali na ciekawe szczegóły opowiadań urzędnika o zastępstwie świeżego masła przez smalec, co nieraz się u nich praktykować w restauracjach.

Nakryto do kawy. Gospodarz zabawiał gości opowieścią wypadku z lat dawnych, kiedy to on, jadąc ze szkół, gdzieś na drodze o mało przez pijanych chłopów obitym nie został.

Po kawie wydobyto papiery i nasz gospodarz, dawszy pod sekwestr za podatki swoje bydełko, wyprowadził aż na dwór urzędnika, żegnając go czule: poczem zostawszy sami, udali się nasi dwaj sąsiedzi do dziewcząt na niewinne żarciki i komplementa, manifestujące się prz z szczypanie dorodnych lic i wydatnych kształtów.

Tegoż dnia rozgrywała się na plebanji partja wista; ośm nóg w palonych butach kłębiło się pod stolikiem; proboszczowie sapali i czyścili palcem cygarniczki, co w niedługą chwilę uczyniło podłogę do miejsca czyszczenia maszyn podobną.

Czterech proboszczów ani na chwilę nie oderwało się od swego zajęcia i tylko strofowania za stracone lewy i procedura o miane honory, bo któremuś zawsze się zdawało, że miał dyskę — huczały burzą w trzecim aż pokoju słyszaną, a dopiero przy kolacji, przy gęsi pieczonej i kapuście ze sło-

nina i piwku szumiącem, zaczęto mówić o polityce, o nieznośnym laszym ucisku.

„Strasznie się dzieje, ucisk się zwiększa, mają nam podobno okroić dochody przy wykupnie mesznego, a jak słyszałem, i szkoły chcą nam narzucić, aby je gniazdem polonizmu uczynić“ rzekł ksiądz młody.

„Ucisk, bo ucisk nieznośny!“ dodał gospodarz — „Ot na przykład, co ze mną wyprawia nasz dziedzic: Drogą mi nawet nie dał bydła przepędzić, jak gdyby mu jej ubyło. Chłopów buntuje i patrzcie! do czego przyszło; nie uwierzycie! Jeden chłop groził mi ślubem cywilnym, a za metrykę nędznej piątki dać nie chciał, wywodząc jakiś patenta. Wypadło chyba na twarz ów patent mu przylepić, alež ten dziedzic! on by się pewno w to wmięszał!“ Tu cztery westchnienia zawtórowało tym srogim laszym wybrykom.

„I cóż mu szkodzi, że biorę od tych, co dają?“ — ciągnął dalej gospodarz — „albo, że pędzę jego drogą? To już złość wyrafinowana, a co najgorzej, że niema na to lekarstwa. Przecież nie chwycę za strzelbę i nie popędzę bydła przebojem“.

To mówiąc, chwycił za zardzewiałą strzelbinę, wiszącą na kołku, zdatną zapewne do wszystkiego innego, tylko nie do strzelania, a nią fechtując dowodził, że iść przebojem nie može.

Był jednak między nimi jeden ksiądz stary, którego wist o wiele więcej obchodził, niż wszystkie uciski lasze i ten miał zwyczaj zakończać zwykle za długie dla niego siedzenie przy stole żegnaniem się trzy razy z wielkim patosem, w trakcie zaś niesienia trzeciego razu ręki do czoła, dodawał: „No, chodźmy skończyć robra!“ Użyty więc i teraz ten środek zaprowadził całą kwestję ruską przed zielony stolik, gdzie już wszelka dyskusja w tej materji stawała się niemożliwą, bo ksiądz stary nie lubiał niewłaściwych rzeczy do gry mieszać i jakkolwiek sam z hukiem straszliwym nieraz dowodził, że miał dyskę, do drugich zaś stosował niezbyt estetyczne przysłowie:

„Wisk — stul pysk“

Szła tedy gra późno w noc i aż dopiero około drugiej gospodarz wyprowadzał gości, żegnając ich czule, a kraina niedość, że zabita deskami, pokryta była jeszcze ciemnością i mgłą, wznoszącą się z nad rzeki.

Rano mgła opasywała góry i była niezwykle gęsta. Przy potoku stały dwie służące. Konewki napełnione były przy nich, a one gwarzyły zawzięcie. Każda z nich zwracała co chwila głowę w tył, jedna ku dworowi, druga ku plebanji mówiąc: „Aj! ja tu stoję, a tam krzyczeć będą, że tak długo bawię“ I dalej coś rozprawiać, gestykulować i robić miny przerażające. Rozłączając się w końcu, jedna drugiej mówiła z przyciskiem: „Tylko nie powiedz nikomu i odchodziła z pośpiechem, podającym w wielką wątpliwość dochowanie tego sekretu.

Istotnie ksiądz i dziedzic, wylegający się jeszcze pod ciepłemi kołdrami, zaalarmowani zostali przerażającemi doniesieniami:

Do dziedzica (będącego starym kawalerem) wpadła kucharka z oznajmieniem, że dowiedziała się najpewniej o zamiarze księdza, najścia zbrojnie na czele swojego bydła terytorjum dworskiego. Opowiadała z wszystkiemi szczegółami, jak ksiądz nabijał i rychtował groźną strzelbę, i dziś, jak tylko opuści łóżko, zbrojny, na czele pastuchów będzie dobywał spornej drogi, co wyraźnie wczoraj przed gośćmi swymi zaprzysiągł.

Gdy się to działo we dworze, ksiądz, blady z oburzenia, dowiadywał się z ust wystraszonej żony o przygotowanym zamachu na jego osobę przez dziedzica z pomocą uproszonych chłopów.

„Obiecał napaść cię na dzodze“ mówiła drżącym głosem „wyraźnie to wczoraj oświadczył wobec gości. Zaklinam cię, nie wychodź z domu, bo gotówi te pijanice posłuchać, a nie lubią cię trochę“.

I lamentowała nad niebezpieczeństwem męża, bo gdzież przypuścić mogła, że to historja z przed lat kilkadziesięciu, opowiedziana gościom przez dziedzica, a podsłuchana przez służącą.

Wśród gęstej mgły przesuwają się postacie ludzkie, jak mary dążą ze dworu prosto na sporną drogę. Idzie dziedzic i sapie jak dzik ze złości — idą parobcy z drągami i cała ta kalwakata staje w postawie obronnej, dziedzic odwodzi kurki u strzelby i mówi: „Jak tylko strzelę na znak, wy dalej zabrać mu bydło co do nogi, ja go nauczę, a jeszcze tego potrzeba, aby na swojem nie być mi panem!“

To dzieje się na polu, a przed plebanię zajechała bryczka i czeka, rychło ksiądz wyjdzie i wsiądzie, aby się udać do cerkwi parafialnej na nabożeństwo. Żona zaklina go, by został; nie może jednak tego uczynić, bo msza zmarłych zamówiona i tak zwany „obiad t. j, prawdziwy obiad, gdzie ksiądz pokarm dusz cierpiących przez swój żołądek przeprowadzi, czem to wedle jego zdania zadowalniając się w zupełności z dodatkiem jednakże pary ze świeżo upieczonych bochenków, wznoszącej się ku niebu z pod ołtarza, gdzie wedle przepisu składane być mają. Ksiądz siada do bryczki, ale prawdę mówiąc, choć miną nadrabia i żonę uspokaja prawami gwarantującemi bezpieczeństwo na drogach, skóra mu się trzęsie, gdyż genialne te prawa nie mają jednakże mocy odlepiania otrzymanych razów. Ogląda się tedy z trwogą dokoła, a tu mgła, że ani zobacz, co się dzieje opodal.

Owego dnia był w poblizkiem miasteczku targ i arendarz miejscowy, handlujący także bydłem, skupiwszy nieco krów starych i jakieś byczki, chciał, korzystając z ranka i mgły, przepędzić je dworską drogą i polem dla oszczędzenia czasu. Gdy jednakże idzie z dobrą myślą i fantazuje przyszłe zyski, pada strzał, groźne: „Bij, łapaj, a nuże tego moskala!“ rozlega się niedaleko i z pośród mgły wysuwają się postacie z drągami, wrzeszcząc i strasząc, suną prosto na przerażonego żydka.

Uciekać — mówi chłopskie przysłowie nigdy nie jest honorowo, ale zawsze korzystnie. Nie wiadomo, czy żyd miał czas zastanowić się nad tem przysłowiem i filozoficznie je rozebrać, uczynił jednak co najkorzystniej, t. j. nie zostawiając swojego bydełka nawrócił je w mgnieniu oka i tak dojechał batogiem swoim krowiętom, że zadarłszy ogony, jak strzała napowrót uciekać zaczęły po spadzistej drożynie.

Dworscy parobcy — prawdopodobnie i tak dopędzić go by zdołali, ale zapewne musi istnieć znów jakieś dobre przysłowie, radzące nie narażać się zbytnio; odważni ci zatem ludzie silniej krzyczeli, niż biegli.

Pozostał więc sam dziedzic ze swą czeladzią, rozczerwieniony jak burak, ale przez wieś pędziła bryczka, co koń wyskoczy, odskakując jak piłka od kamieni. To ksiądz, usłyszawszy strzał, wyrwał bat furmanowi, i nuż walić konięta. Byłby może nawrócił do domu, ale drogi górskie nie są nietylko do nawracania, ale rzadko do wymijania; uciekał tedy nadół drogą, wzdłuż potoka wiodącą. Czapka zaraz przy pierwszych podskokach bryczki opuściła głowę i kręcąc się płynęła potokiem — a on z rozwianym długim włosem, tłukł co raz silniej batem konięta, bo jakiś hałas i stukot się zbliżał. I nic dziwnego, bo żyd wyrachowawszy, że nie potrzeba, by dziedzic wiedział, że on chciał pędzić swe bydło przez dworskie pola, co tchu wślad księdza umykał.

Bryczki jednakże nie są nieśmiertelne, ani stworzone do wyścigów z przeszkodami, oś tedy pęka na dwoje i szalony wywrót ekwipażu zmusza księdza na chwilę do przybrania położenia naszych antipodów z

wielkiem uszczerbkiem ciemienia. Ksiądz jednak przytomny zrywa się i pędzi dalej pieszo, wdrapuje się na stromą ścieżkę, dobiega do drzwi wielkiej chaty i wbiega bez tchu do środka.

Gospodyni, młoda i piękna, sama była w izbie, ale czyż można żądać od księdza, aby jej piękność oceniał w tej chwili? by zważał na te wyszczerzone zęby bielutkie, na zgrabne nóżki i kręcone filutki?

„Ukryj mnie!“ zawołał tylko — „czemprędzej! bo pan pędzi za mną, aby mnie na miejscu zastrzelić!“ — i nie czekając, co powie, gramoli się na łóżko, nakrywając się pierzyną, podczas gdy bystra kobiecina bieże kądziel i siada na łóżku, maskując tem pobyt tego niezwykłego emigranta.

Drzwi od sieni skrzypły z hałasem i dają się słyszeć kroki, pierzyna trząść się zaczyna — a z pod niej dobywa się głos podobny do szczękania zębami. Do chaty wchodzi jednak tylko mąż pięknej i staje bezmyślnie na środku izby, ujrzawszy jednak ruchy pierzyny i niezwykłą jej wypukłość, zaciekawiony, uchyla jednego rogu, i ujrzawszy swego proboszcza, staje niemy z podziwienia i zgrozy — wreszcie skrobie się zwyczajem chłopskim w tył głowy i mówi: „Oj, jak ja ne lubiu, jak meni kto do żinku chodyt, o! ja tego ne choczu! Sytuacja staje się nadzwyczaj drażliwą i niejasną — bo trzeba wiedzieć, że pewnego razu ksiądz miał się wyrazić z wielkiemi pochwałami o piękności młodej Jewki, co natychmiast w sposób błyskawiczny doniesiono mężowi z dokładnością, nie ustępującą informacji, jaką mieli ksiądz i dziedzic o swem obopólnem działaniu. Ksiądz, wpadłszy tedy z deszczu pod rynnę, uciekł się, do swej wymowy, utrudzonej jednak obecnie drżeniem głosu, ale nie pomogło to wiele a chłop drapał się co raz silniej w głowę i chyba jedynie sukienka ochroniła proboszcza od scyzoryka, gdy mąż okiem pełnem złości wiódł za nim, kiedy chatę opuszczał jak zmyty; ale kiedy ksiądz okrążał wieś do koła, przedzierając się przez krzaki okoliczne, Jewka porządnie obita, umykała do matki swojej.

Ksiądz debrami i ścieżkami zbliżywszy się niezbyt daleko od plebanii, puścił się cwałem i wpadł do swego domu, zdyszany i odrapany, jak nie boskie stworzenie, a żona o mało nie odchorowała tego wypadku.

No i patrzcie się — mieszkańcy tego zabitego kraju, zamiast zająć się oświatą ludu ciemnego, co wierzy w parę, wznosząca się z ciepłego chleba, co wierzy w pokarm do księżego żołądka wprowadzony, jako pomocny duszy i zamiast wybudowania sobie dróg i życia w zgodzie na jednej grzędzie, podali do sądu dwie skargi, jedna oskarżała księdza o zbrojny napad na dworskie pola i drogi, a druga oskarżająca o napad rozbójniczy na publicznej drodze, wymierzona była przeciw dziedzicowi. Gdy ale lata całe potrzebaby prawdopodobnie czekać na ukończenie w sądach tej sprawy zawiłej — nie pozostaje mi nic innego, jak zakończyć tę relację z zabitego świata, który w obecnej chwili okazał tak wiele żywotności.

Zasada celowości
w przyrodzie
w obec dzisiejszej wiedzy

przez F. S.

(Dokończenie).

Jeżeli z przytoczonych tu przykładów widnieje jasno fakt istnienia urządzeń bądź wadliwych, bądź zupełnie pozbawionych własnego celu i przeznaczenia, to z drugiej strony nie brak i takich, gdzie całym rezultatem jest tylko szkoda przyniesiona ustrojowi. Tu należą w większej części wszystkie prawie procesa chorobowe, prowadzące do rozstroju i zaguby organizmu, jakkolwiekbyśmy zajmowali zapatrywania pewnej nowej szkoły medycznej, która wszelkie choroby uważa za naturalne procesa lecznicze, dążące do wyprowadzenia z ustroju czynników zdrowiu szkodliwych. Bo jakiż pożytek może mieć dla organizmu rak usadawiający się w żołądku lub tętniak aorty prowadzący do niechybnej śmierci, albo owe liczne monstrualności, z któremi ustrój nie rzadko już na świat przychodzi? Czyż to nie widoczna a gorżka ironia samej natury z tych, którzy jej przemocą narzucają jakąś niebiańską harmonią!

Dla dopełnienia obrazu pozwalam sobie z licznej grupy przykładów wydobyć jeden jeszcze i ostatni, z dziedziny patologii. Pouczy on nas, jak złudne i obosieczne są te t. z. cudowne naturalne procesa lecznicze ustroju. Mam tu na myśli fakt, nie ulegający wątpliwości, że ustrój na szkodliwości z zewnątrz działające reaguje najczęściej zapaleniem, a w razie zniszczenia części tkanek, używa produktów zapalnych do wynagrodzenia ubytku. I tak po sparzeniu partji skóry, skutkiem czego odpowiednia część ciała po utracie swej naturalnej okrywy narażoną by została na działanie szkodliwych czynników, rozwija się zapalenie, powstaje bąbel, części płynne wysięku zapalnego zostają wessane, ale stałe komórkowe rozwijają się dalej, przekształcają we włókna tkanki łącznej, a z tych formuje się nowa pokrywa mająca zastąpić ubytek. Proces ten, to gojenie, a rezultatem jego blizna, jako surrogat zdrowej fizyologicznej skóry. Na pozór nic doskonalszego nad to urządzenie. Ale sprawa wygląda nieco inaczej, kiedy uszkodzenie skóry będzie rozleglejsze, zajmie dajmy na to całą rękę po ramię. Gojenie i tu postępuje tym samym trybem, co wyżej — zapalenie, organizacja tkanki łącznej, blizna — ale jak odmienne będą następstwa!

Blizna się kurczy, ściąga, i wygina stawy, nie pozwalając już na żadne ruchy ręki — kończyna staje się bezużyteczną choremu. I tak urządzenie, które miało naprawić złe, sprowadziło wzamian drugie, a bez porównania w następstwach zgubniejsze. A cóż dopiero powiedzieć o tych wypadkach, gdzie drogą tegoż samego procesu przychodzi do zwężeń tchawicy, zaciśnień przewodu pokarmowego, słowem do przerwania funkcji narządów niezbędnych do życia, czego następstwem jest śmierć niechybna, kiedy bez zagojenia się, do którego cały proces dążył, życie przez czas dłuższy byłoby w ogóle jeszcze możliwe. Tu już, sądzę niepodobna mówić o żadnym planie rozumnym, o żadnym celu, żadnym obrachunku — przed oczyma staje żelazna konieczność ślepych sił przyrody, surowa bezwzględna potęga, stąpająca własnemi szlakami wysoko ponad ludzkiemi względami dobra, pożytku i celu. To jest przyroda... Gdyby grecką *„anagke“* przetłómaczyć na język nowoczesny, to nazwisko jej brzmieć będzie „przyroda“. Oba te pojęcia przykrywają się zupełnie.

To jest tak jasne, tak proste, z taką stanowczością wynikające ze wszystkiego, co wiemy dziś o siłach przyrody, że dziwić się należy, jak pogląd przeciwny mógł się dotąd utrzymać. A jednak ludzkość przez tyle wieków wierzyła i dotąd wierzy w wyższy porządek rzeczy, w jakąś myśl tajną zawieszoną ponad tworami przyrody, która nimi kieruje i nagina ku ludzkim celom i dobru. Dlaczegoż to? Wszakżeż ta sama przyroda nie mówiąc już o wnioskach, narzucających się same przez się ze ścisłych prawd naukowych, na każdym kroku dawała uczuć człowiekowi swą odrębność, swój chłód, swą obojętność w obec jego spraw, uczuć, pożądań. Ona mu zsyłała nawalnice,

kiedy pragnął pogody, upały, kiedy zdałyby mu się deszcze, nawiedzała go chorobami i trzęsieniem ziemi, drwiła ogromem Alpi lub Himalajów z jego maleństwa, w trzasku piorunów i w ogniu wulkanów zdawała mu się szeptać: Tyś atom, nic, zero — ja ogrom, nieskończoność, tyś we mnie, nie ja dla ciebie. Żaden czas poezji, żadna choćby najsubtelniejsza sofistyka filozofii nie mogłaby w obec tych ciągłych protestów natury utrzymać myśli ludzkiej w tak długiem złudzeniu. Więc zkąd ta wiara, zkąd ta moc przekonania o duchowym rządzie w naturze, o podporządkowaniu jej praw ludzkim celom? Powód dały niewątpliwie pewne zjawiska łudzące, pobieżnie schwycone, źle zrozumiane, wreszcie ta dążność do szybkiego uogólnienia, o której na wstępie była mowa, ale to wszystko względy uboczne, choć niezbędne — właściwej przyczyny trzeba szukać głębiej, na dnie natury ludzkiej. Człowiek pierwotnie ocenia w gruncie rzeczy wszystko wedle siebie, pojmuje rzeczy tylko w odniesieniu do swej indywidualności, tak jak one przedstawiają mu się przez szkła własnych jego myśli chęci i czynów. Subjektywizm ten pozwala mu zrazu rozumieć otoczenie o tyle tylko, o ile je ze sobą samym porównał. Jest to zasadnicza forma jego myślenia, pierwszy krok do poznania. Ożywia więc zrazu wszystko około siebie, we wszystkiem widzi istoty sobie pokrewne, czujące i myślące jak on, działające wedle tych samych pobudek. Dla dzikiego burza ryczy, ogień pożera i trawi, słońce wypija wody, chmury płaczą — a dziecko cywilizowanego świata, uderzywszy się o stół, bije go tak samo, jakby biło swego żywego towarzysza, aby się zemścić za ból doznany. Związek więc leży jak na dłoni. Ponieważ cała natura jest zbiorem istot zupełnie człowiekowi podobnych, a człowiek rozważa, rozumuje, posługuje się pewnemi środkami do własnych celów, więc i cała natura, albo raczej jej stwórca w ludzki zupełnie sposób działający, musiał wedle pewnego planu z góry obmyślanego pracować i każdej rzeczy nadać cel i właściwe jej przeznaczanie. A dla kogóżby to wszystko przeznaczył, jeśli nie dla człowieka, jemu to wszystko się przyda, on tego właśnie potrzebuje, a więc to dla niego. Deszcz pada, to dla niego, aby mu rolę skrapiać, huczy burza, to na to, aby powietrze oczyścić, rośliny rosną — to pewnie lekarstwo na jego choroby. W tej samej myśli dzieci nasze wyciągają rączkę po gwiazdy, przekonane jak najmocniej, że to nic innego, tylko zabawka zawieszona dla nich umyślnie na niebie.

Oto źródło wiary w cel, w przeznaczenie przyrody. Ponieważ wiara ta wprostej linii prowadziła do idei bóstwa więc adoptowała ją metafizyka, aby zrobić z niej narzędzie do swych subtelnych wywodów. Dziś dla nauki zasada ta cała jest tylko historycznym dokumentem, świadczącym o rozwoju myśli ludzkiej, — narządem szczątkowym, przekazanym nam prawem dziedziczności po przodkach. Jako takiej należy jej się jeszcze mały kącik w nauce z napisem: „zabytki".

Zadania Psychologii eksperymentalnej

podług

Wil. Wundta.

(Dokończenie).

Podobnie jak czucie i spostrzeganie zmysłowe, do eksperymentów nadają się stosunki *czasowe* powstawania i zmiany naszych wyobrażeń, oraz wszystkie zjawiska ze zmianą tą w bezpośrednim zostające związku, jak np: jakościowa assocyacya wyobrażeń. W prawdzie i pod tym względem zmuszeni jesteśmy stopniowo przenikać z zewnątrz do wewnątrz i nie możemy wprost mierzyć trwania aktów psychicznych. Skoro jednak próby odnośne urządzimy tak, że pewne, do przedmiotowego oznaczenia czasu niezbędne procesy fizyologiczne w znacznej liczbie obserwacyj pozostają niezmienione, podczas gdy w sposób niejednostajny przybywać do nich będą czynności uwagi, rozróżniania, woli, kojarzenia wyobrażeń i wyrabiania sądu — będziemy w stanie bądź drogą wyłączania oznaczyć bezwzględny czas trwania owych aktów, bądź też zbadać, czy które z nich zachodzi jednocześnie lub w możliwej do określenia kolei, jaką liczbę wyobrażeń świadomość nasza w danych warunkach pomieścić może, jak się zmieniają pewne szeregi wyobrażeń wskutek przechowywania ich w pamięci itd. We wszystkich tych wypadkach psychologia eksperymentalna, oparta na metodzie psychofizycznej, osiągnie swój cel, gdy się jej uda całkowicie rozłożyć na pierwiastki, zjawiska świadomości i dokładnie poznać współistnienie oraz kolej następstwa tych zjawisk.

Psychologia eksperymentalna wszakże jeden ma niedostatek, na który w skarbnicy metod psychofizycznych lekarstwa znaleść niepodobna. Doświadczenia fizyologiczne zwracają się do świadomości człowieka rozwiniętego, a tem samem nieprzydatne są wszędzie tam, gdzie nie można przypuszczać rozumnego przejęcia się zamiarami psychologa. O rozwoju psychicznym dają nam one bardzo mało wskazówek, a zastosowanie ich do zakłóceń w tej sferze nadzwyczaj jest ograniczone. Zakłócenia te, zwłaszcza o ile są głębszej natury, dadzą się wyjaśnić nie tyle drogą badań bezpośrednich, ile raczej za pomocą wykazywania zmian, towarzyszących skłonności do nich i ich powstaniu. Przedewszystkiem przecież eksperymenta psychofizyczne skazane są na rozczłonkowywanie procesów stosunkowo elementarnych, jak pojedyńczych aktów wyobrażenia, woli i przypomnienia; śledzić zaś związku tych procesów prawie wcale są niezdolne. Natomiast niedostępnym jest dla psychologii eksperymentalnej sposób ukształtowania się właściwych procesów myślenia, jako i wyższych form uczucia i popędów. Co najwyżej może ona nad zewnętrznem, czasowem następstwem tych procesów kilka niedostatecznych uczynić spostrzeżeń.

Dla zaradzenia owemu niedostatkowi niektórzy wielką przywiązują wagę do wyników obserwacji dziecka. W rzeczywistości jednak wyniki te mają tylko znaczenie podrzędne. Zapewne, że nie mały przedstawia interes wykryć, w jakiej epoce życia pewne objawy psychiczne występują po raz pierwszy: czy one zależne są od wpływów zewnętrznych, czy nie, i t. p. Ale właśnie pod tym ostatnim względem obserwator na większe narażonym jest złudzenia, aniżeli zwykle przypuszczamy. Ileż to razy po bliższym rozbiorze dochodzimy do tego, że myśl z pozoru samodzielnie powstała, lub słowa wynaleziono są tylko prostem naśladownictwem, niepoznanem przy pierwszem wrażeniu wskutek zmiany, jakiej doznały w ustach dziecka! Wszak cały tak zwany język dziecinny, w którym pojedynczy obserwatorowie chcieli widzieć źródło bezustannego tworzenia się mowy, nie jest niczem innem, jak językiem używanym przez matki i mamki, usiłujące zniżyć się do stopnia świadomości dziecka. Lepsze korzyści napozór zdaje się zapewniać wielka dziedzina antropologii psychicznej. W istocie też poglądy życiowe, obyczaje i pojęcia religijne ludów pierwotnych uważane są przez wielu za bogate kopalnie dla przedmiotowych badań psychologicznych. Z tem wszystkiem przecież wątpliwości ulegać nie może, że korzyści na tem polu dotychczas były nader niewielkie, i że niema widoków, aby na przyszłość miało być inaczej. Stan du-

chowy tak zwanego ludu pierwszego jest rezultatem nieprzejrzanego łańcucha warunków, które w oku badacza w tem bardziej zawikłanej ukazują się postaci, im więcej w czasie badania znikać zwykło pierwotnie wyrobione mniemanie. W dzisiejszych naszych ludach pierwotnych przeto niepodobna odnaleść obrazu pierwastkowej kultury rodu ludzkiego. Faktycznie też etnolog, chcący wyjaśnić sobie poglądy na świat i życie, panujące u takich ludów, na odwrót bierze za punkt wyjścia ustalone wyobrażenia psychologiczne, do których w następstwie doświadczenie etnologiczne rozlicznych mu dostarcza przykładów i zastosowań.

Ważnem także polem dla dociekań w tym kierunku jest sfera wyobrażeń *mitologicznych*. Wszak już samo istnienie tych wyobrażeń najwyższy dla psychologa przedstawia interes. Prócz tego, rzec można, że myślenie mitologiczne jest zjawiskiem nowem, z którem na zwykłych drogach badania swojego psychologia wcale się nie spotyka, lub co najwyżej, znajduje słabe zjawiska tego naśladownictwa, zrozumiałe dopiero wskutek poznania tryskających życiem ich wzorów. Lecz pominąwszy istnienie faktu myślenia mitologicznego, gdzież są wnioski psychologiczne, które zawdzięczamy mitologii? Prawda, że jak śród świtu mgłą oblane wierzchołki gór dalekich, tak z poza zmiany wyobrażeń mitologicznych wyłania się przeczucie przeobrażeń, jakim w ciągu wieków i wedle pewnych stale oznaczonych praw ulegała świadomość ludzka. Ale któż odważy się dziś już sformułować te prawa? Kto podejmie się oddzielenia tego, co w tej mierze ogólne ma znaczenie, od zjawisk, będących produktem przypadkowych warunków zewnętrznych? Pewnie nie ten, co sprobował głębiej wniknąć w istotę rzeczy. Jedno tylko z wszelkiem podobieństwem do prawdy przepowiedzieć można. Jeśli mitologia kiedykolwiek badaniu psychologicznemu płodne odda usługi, usługi te będą sprawą nie bezładnych kosmogonij ludów pierwotnych, ale nauki o bogach ludów ucywilizowanych, które lubo bardziej od nas odległe co do czasu, niespożyte jednak po sobie pozostawiły pomniki. Sama umiejętność wszelako podległa jest prawom rozwoju, z pod których nigdy jeszcze nie wyłamała się bezkarnie. Żadna gałąź wiedzy nie może drugiej służyć za pomocniczą, dopóki sama nie posiędzie dostatecznie pewnych rezultatów. Podobnie jak mitologia przez długi czas czekała, a w części jeszcze czeka na archeologię sztuki i wykrycie na dawniejszych zabytków piśmiennych, tak samo psychologia poprzestać będzie musiała na uznaniu, że badania mitologiczne są skarbem, z którego skorzysta dopiero przyszłość daleka.

Jest jednak nauka pokrewna, dla której jak się zdaje, już zbliżył się czas spotrzeżeń psychologicznych. Jest to *nauka języka*. I ona należy do zakresu antropologii psychicznej, jakkolwiek w wykładach tej ostatniej zwykle bywa pomijaną. Wyłączenie takie usprawiedliwić można jedynie ze względu na obszar, do jakiego nauka języka doszła w czasach ostatnich; interes psychologiczny sam w sobie przecież wymaga, aby mowa w antropologii pierwsze zajmowała miejsce. W porównaniu z innemi płodami świadomości ludów, mowa pod wielu względami pierwszorzędną ma wartość. Na żadnym z tych płodów ślady dawno zamierzchłych czasów tak niezatartemi nie zapisują się głoskami; żaden z nich w równym stopniu nie łączy zdolności przechowywania trwałych skutków zmian zaszłych w świecie wyobrażeń ludzkich. Wprawdzie i nauka języka nie jest jeszcze umiejętnością skończoną. O wielu kwestyach zasadniczych najrozliczniejsze jeszcze w niej panują zdania. Ale nie o to chodzi, aby nauka, gdy ma drugiej przynieść pożytek, zupełnie była dokładną — bo i kiedyż zresztą dokładność taka wogóle była możliwą? — lecz, żeby miała pewną ilość faktów ustalonych, chociażby co do tłomaczenia ich rozliczne, a sprzeczne panowały poglądy.

Zarówno w psychologii, jak i w logice należy się wystrzegać nadużywania gramatyki. Gramatyka wskutek złożonej w niej potrzeby systematyzowania musi wtłaczać słowo żywe w obcej natury formalizm zewnętrzny, który jest wprawdzie pochodzenia logicznego, jednak odnosząc się do wytworu duchowego powstałego nie wyłącznie z pobudek logicznych, sam ani logiką, ani psychologią nie jest. Gramatyka atoli nie jest językiem. Może ona przedstawiać dla psychologa niejeden szacowny punkt oparcia; ale przedmiotem, z którego badacz jest w stanie wyciągać fakta prawdziwie psychologicznej wartości, zawsze pozostaje język sam a zwłaszcza jego rozwój, poruszający się prawie zupełnie po za granicami wszelkich norm gramatycznych. Bo i skądże możnaby brać fakty, z których wyprowadzać należy psychologiczne prawa myślenia i kształtowania się pojęć, jeżeli nie z języka, będącego zarazem objawem i narzędziem myślenia? Wypadek to szczęśliwy prawdziwie, że właśnie tam, gdzie niedostatecznymi się stają środki pomocnicze psychologii fizyologicznej, to jest przy badaniu wyższych procesów świadomości, język nastręcza się jako przedmiot poszukiwania, nad którym badania nabywają wysokiej wartości eksperymentalnej, raz ze względu na niezawisłość jego od obserwatora, powtóre na różnorodność postaci, jakie pod odmiennymi warunkami przybiera.

Fizyologia dźwięków, nauka o powstawaniu wyrazów, o budowie zdań o zmianie znaczeń, jakiej w ciągu wieków ulegały wyrazy pojedyncze — wszystko to są tematy językoznawcze, zdolne psychologię na nowe poprowadzić tory.

Lingwista łatwo będzie mógł pomnożyć sobie niedokładne to wyliczenie przedmiotów z jego dziedziny, wkraczających w zakres psychologii. Tu chodziło tylko o zaznaczenie, że liczne są źródła poznania przedmiotowego, daleko lepsze obiecujące rezultaty, niż niedostateczna i zwodnicza samoobserwacja, i że psychologia, gdyby nawet miała ograniczyć się na samem badaniu faktów, na długo jeszcze miałaby materyał do swoich rozważań. Musi przyjść do tego, że psychologja wreszcie odniesie zwycięstwo nad Kartezyuszowskim dualizmem, że przywłaszczy sobie oręż mechanicznej umiejętności przyrodniczej i za pomocą metod ścisłych, jakich się od niej nauczyła, pocznie badać prawa życia duchownego. Skoro zaś to nastąpi, zasługi psychologii dla filozofii niewątpliwie będą większe, niż te, jakie ta ostatnia pierwszej dotychczas wyświadczyła.

Ad. J. C.

Co to jest naród?

według

(E. Renana.)

Odpowiedzią na to pytanie zajęło się w bieżącym roku kilku pisarzów w różnych krajach.

Nowoczesna historja — powiada Renan — wysunęła na widownię nieznaną starożytnym ideę — *narodu*. Pojęcie to było niewątpliwie obcem, zarówno mieszkańcom Chaldei, jak Chin lub Egiptu. Historja przynajmniej nie wspomina o obywatelach chińskich, lub egipskich. W Grecji widzimy rzeczypospolite, królestwa, związki drobnych państw, ale o narodzie — w pojęciu nam współczesnem — nie słychać.

Rzym wcielał ową ideę bardziej. Z drugiej jednak strony jego cesarstwo, przedstawiające obraz całej części świata, nie

mogło utworzyć narodu. Dopiero najście germanów dało światu podstawę dla ukształtowania się narodowości.

Co zrobiły bowiem ludy germańskie, poczynając od owych pierwszych mas, które zalały Europę w V stuleciu, aż do sławnych zaborów normandzkich w X? Na polityczną powierzchnię wypłynęły wtedy nowe dynastje, a także nowa arystokracja wojskowa, znana odtąd pod nazwą zdobywców. Na chwilę zdawało się, że zmartwychwstał rzymski zachód, lecz traktat Verduński rozczłonkował nową potęgę. Powstaje Francja, Niemcy, Anglia, Włochy, Hiszpania. Różnemi drogami, przez wiele przeszkód, kraje te dążyły i doszły do idei narodowości.

Dlaczego dopiero wzmiankowane państwa urzeczywistniają ową ideę, a Chiny, Egipt lub obecna Turcja - stoją na przeciwległym jej biegunie? Dlaczego w Turcji, turek, słowianin, syryjczyk, grek lub arab, różnią się między sobą tak jak różnili się przed setkami i tysiącami lat? Dwie okoliczności wpłynęły na ten fakt. Najprzód ludy germańskie przyjęły chrześcianizm. Wzgląd ten uniemożliwił różnice wiary właściwe plemionom osiadłym w Turcji. Następnie zdobywcy zapomnieli rodzimego języka, dzięki temu, że mieli z sobą bardzo mało kobiet. Zlanie się plemion było tak zupełnem, że pisarze i poeci francuscy, z czasów po-kapetowskich, nie wspominają nigdy o jakiejkolwiek różnicy ras. Podobny objaw towarzyszy wszystkim zdobyczom normandzkim. Po upływie jednego, lub dwu stuleci, charakterystyczne cechy normandczyków giną przy zetknięciu z tuziemcami.

Zapomnienie tedy, czy też niewiadomość historyczna służy nieraz za podstawę dla utworzenia się formacji narodowościowej, tak jak znowu wyświetlenie prawdy dziejowej może być dla niej zgubnem. Jedność narodowa tworzy się bowiem zwykle drogą brutalną. Tam, gdzie oddzielnie plemiona nie dążyły do niej, rozstrój bywał nieuniknionym. Przypominamy choćby powolną śmierć Turcji. Istota narodowości polega więc na tem, że zbierające się pod jej sztandarem osobniki mają wiele wspólnych interesów. Z drugiej strony idea ta wymaga niepamięci wielu wspomnień, mogących wywołać niezgodę.

W głowach pewnych teoretyków politycznych wylęgła się teorja dynastyczna, za pomocą której przez długi czas wyjaśniano istotę narodowości. Naród byłby tedy niczem więcej, jak grupą ludzi, sklejonych cementem dynastji i żyjących jej życiem. Taż sama wszakże historja, która dostarczyła kilka cegiełek do zbudowania tej doktryny, daje nam w ręce potężne tarany dla zupełnego jej rozbicia. Dość spojrzeć na losy Szwajcarji i Stanów Zjednoczonych. Królewska Francja niemniej daje broń poważną. Upadek jej królestwa był kolebką wzrostu narodowości.

Czemżeż tedy jest *narodowość* i po czem rozpoznać ją można?

Jest ona wytworem rasy — mówią jedni. Według nich, Niemcy miałyby np. prawo zebrać wszystkie rozproszone członki wielkiego szczepu germańskiego w jeden polityczny organizm, nawet wtedy, gdyby, owe odłamki przeciw temu zaprotestowały. Prawo tedy niemców do danej okolicy byłoby większe, niż jej ludności.

Zasada ta o tyle byłaby zgubną, o ile jest fałszywą. Idea rasy mogła mieć swoje znaczenie w życiu starożytnych pokoleń, czy państw, które stanowiły tylko rozszerzenie idei rodziny. Bieg cywilizacji zrobił we wspomnianej teorji kilka druzgocących ją wyłomów. Zarówno państwo rzymskie, które objęło najróżnorodniejsze rasy, jakoteż powszechny i absolutny chrześcijanizm, podały sobie bratnie dłonie w tym celu. Dodatkowo potop barbarzyńców zalał resztki pozornie rasowych cech, rozdzielających państwa. Nie rozłamywali oni bynajmniej Europy według wymagań etnograficznych. Państwa nowoczesne kształtowały się i wzrastały przy zupełnem pominięciu ideałów rasowych. Najszlachetniejszymi narodami, jakby dla ironii, są te, w których żyłach płynie najbardziej mieszana krew. Takimi są anglicy, francuzi i włosi. Francja jest zarówno celtycką, jak iberyjską lub germańską. Współczesne Niemcy przedstawiają zlepek celtów słowian i właściwych germanów.

Spory co do pojęcia rasowości nie prowadzą zresztą do żadnych pozytywnych rezultatów. Dzieje się to może i dla tego, że wiodący je kroczą, zamiast po jednej linji, po dwu równoległych, Jedni opierają się na historji, drudzy (antropologowie) – na fizjologii. Ostatni nadają rasie znaczenie czysto zoologiczne, rozumiejąc pod nią powinowactwo krwi. Badania jednak historyczno-lingwistyczne nie wiodą dotychże wyników, co fizjologia. Grupy: aryjska i semicka (pierwotne) nie miały żadnej fizjologicznej łączności. Podobnie rasa germańska posiadająca rację bytu ze stanowiska historyczno-lingwistycznego, jest bezpodstawową ze stanowiska antropologicznego. Indywidualność germańska występuje zaledwie na kilka wieków przed Chr. Przed tą epoką widzimy ją pomieszaną ze słowianami i poruszającą się razem w masie scytów.

Etnografia jest — i to nawet wielce sympatyczną — nauką, lecz będzie nią o tyle, o ile odosobnimy ją od wpływów politycznych. Nadto, jak każda inna nauka, podlega ona nieustannym zmianom. Logicznie tedy modyfikacja danej teorji rasowej winnaby również oddziałać na zmianę pojęć państwowych. Wyobraźmy sobie patryotyzm zależnym od wpływu danej politycznej broszury. Bronisz ojczyzny w charakterze słowianina, a tu jakiś uczony oblewa cię zimną wodą, dowodząc, że w żyłach twoich płynie krew niemiecka, a temsamem powinieneś unicestwić gorąco bronione przez siebie ideały.

To samo da się powiedzieć i o języku. Międzynarodowa polityka zarówno nie może być zależną od filologii porównawczej, jak i od etnografii. W Prusach, w których językiem wyłącznym jest obecnie niemiecki, dawniej mówiono przeważnie po słowiańsku; w Egipcie mówią po arabsku; w Księstwie Walii — po angielsku. Języki są bowiem niczem więcej, jak formacjami histrycznemi, króre bynajmniej nie znamionują rasy. Nie zapominajmy o tem, że po za cywilizacją francuską, niemiecką czy angielską, stoi cywilizacja ogólno ludzka, niezależna od pierwszych.

Religja również nie daje podstawy pod budowę narodowości. W zaraniu dziejów utożsamiała ona się z ustrojem społecznym. Była religją rodu, religją państwa. Porzucenie danego kultu znaczyło to samo, co obecnie zwykliśmy rozumieć pod zdradą stanu. To, co uznawano za prawdę religijną w Sparcie, wydawało się fałszem w Rzymie. W granicach jednak danego państwa religia była jedną, bo też i ona była instytucją państwową. Dzisiaj każdy wierzy, jak chce i jak może. Minęła epoka religii państwowej. Można być francuzem, anglikiem lub niemcem, będąc równocześnie katolikiem, żydem, protestantem, albo też nie będąc wyznawcą żadnej religii.

Pójdźmy dalej. Wspólność ekonomicznych interesów nie jest również podstawą narodowości. Idea *Zollverein'u* i ojczyzny bezwątpienia nie są indentycznemi.

Ojczyzna będzie zawsze czemś więcej. Położenie geograficzne kraju nie jest także ową tajemnicą, której się tak uporczywie doszukujemy. Tak zwane naturalne granice odegrały wielką rolę w historji: ale czyż to daje prawo do mniemania, że kierunek rzeki lub wysokość góry nakreśliły dziejową formę dla losów danego narodu? Czło-

wiek tylko jest wszystkiem w owej świętej formacji, którą zwiemy narodem. Ziemia daje grunt, przedstawia pole walki i pracy, ale duszą jednej i drugiej może być i jest *tylko* człowiek. Na pojęcie narodu składają się dwa pierwiastki: przeszłość i teraźniejszość. Pierwsza streszcza w sobie bogatą spuściznę wspomnień, druga — uwidocznia się w chęci społecznego pożycia. Naród jest krystalizacją widniejących w jego dziejach usiłowań i poświęceń dla podtrzymania bytu. Przodkowie zrobili nas tem, czem jesteśmy obecnie. Bohaterska przeszłość, wielcy ludzie, sława — oto społeczny kapitał, podstawa idei narodowej. Posiadanie wspólnych tytułów chwały w przeszłości, wspólne cele w teraźniejszości, zasób wspólnie dokonanych czynów z jednej, chęć dokonania nowych z drugiej strony — oto suma warunków, dająca w rezultacie: *naród*.

Miłość dla pewnego przedmiotu idzie zwykle w parze z dokonanemi dla niego ofiarami, cierpienia zaś dla niego potęgują owo przywiązanie. Również i w sferze wspomnień narodowych chwile żałoby więcej warte, niż chwile tryumfów. Naród tedy jest uosobieniem solidarności, wytworzonej przez uczucie poświęceń już dokonanych i tych, które się mają dokonać w przyszłości. Wobec tego określenia utraca on, co prawda, owe metafizyczne prawo, które służy królom, zabierającym prowincje dla tego, że im się podobają.

Według Renana, może przyjdzie czas, kiedy wszystkie narody ułożą się w jedną federację państw europejskich. Lecz dotąd mówić o tem zawcześnie. Istnienie narodów jest dziś dla ludzkości koniecznem, gdyż świat zginąłby, mając nad sobą tylko jedno prawo i jednego pana.

Tak więc, kończy Renan, ponieważ naród stanowią ludzie, ich tedy pytać należy w przedmiotach spornych. Jeżeli kwestja granic przedstawia jakieś wątpliwości, należy zwrócić się po rozstrzygnięcie jej nie do niemych teoryj rasowości, religii lub języka lecz do ludzi. Rada ta, która wywoła uśmiech obecnie na ustach niejednego z polityków, zczasem zyska prawo bytu. Zresztą, chcąc mieć rację w przyszłości, należy zwykle wybiedz po za granice teraźniejszości.

B. N.

Sprawozdanie z obrad PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW i ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

(Ciąg dalszy).

P. Słupski; W obcej zresztą dla mie kwestji mówię nie ze stanowiska prawniczego. Wiem o tem, że wszelkie uchwały zjazdu jako niemającego za sobą siły wykonawczej, egzekucyjnej, naturalnie muszą pozostać bez żadnego pozytywnego wpływu, i jedynie mogą mieć wpływ moralny o tyle, że zadokumentują dla naszej przyszłości, iż o ile chodziło o strzeżenie praw osobistych, społeczeństwo czuło tego potrzebę. Całej tej kwestji strony teoretycznej poruszać nie będę, stoję na gruncie praktycznym tj. w odniesieniu specjalnie do naszych warunków, a mianowicie do naszego dziennikarstwa. Zdaje mi się, że nie od rzeczy byłoby, ażeby obecne zebranie dziennikarzy i literatów porozumiało się między sobą co do przedruków dziennikarskich. Czytamy ciągle w tym względzie spory, jedni narzekają na drugich: „a przedrukowali nas bez zacytowania źródła“. Otóż mogłaby ta kwestja być tu rozstrzygniętą, jeżeli nie w formie prawa obowiązującego, to przynajmniej na podstawie wzajemnego przyrzeczenia i na udokumentowaniu kwestji możnaby poprzestać.

Dr. Jonathan Warschauer: Dziękując szanow. referentowi za tak cenne wypracowanie przedmiotu, pozwolę sobie, chociaż nie prawnik, wynurzyć swe zdanie. Jeżeli referat ten ma przynieść jakie korzyści, to pierwszym warunkiem byłoby, aby referat przyjęty, był przedłożony sejmowi krajowemu. Co później się stanie, czy sejm weźmie go pod rozwagę, czy będzie przedłożony radzie państwa, nie można przesądzać. Ale w każdym razie ustawa tylko krajowa nie wystarcza, ale musi być międzynarodową czyli internacjonalną, bo niedość, że będzie zabezpieczoną własność w kraju, a koniecznem jest, aby była zabezpieczona we wszystkich krajach ucywilizowanych.

P. Piltz: W Rossji obecnie przygotowywana jest reforma kodeksu cywilnego, którą się zajmuje osobna komisja, a jedną z najważniejszych prac tej komisji będzie rozpatrzenie prawa autorskiego, więc do pewnego stopnia będzie to rozstrzygnięcie. Prawdopodobnie projekt będzie komunikowany i warszawskiej adwokaturze, która będzie wtenczas miała sposobność opinją swoją w tym względzie wypowiedzieć. Co się tyczy innej strony tej kwestji, byłbym zdania, że można było ze względu na elastyczność każdego paragrafu uchwalić na tym zjeździe art. i liter. utworzenie miejscowych komitetów, czy sądów polubownych, któreby się zajmowały praktycznem rozstrzyganiem wszelkich wątpliwości.

Ks. kan. Ignacy Polkowski. Równie jak p. Dr. Warschauer składam podziękowanie szan. p. referentowi za tak piękny elaborat. Co do tej sprawy, jeżeliby miała podług wniosku i opinji p. Dra Warschauera pójść tak daleko tj. do Sejmu, śmiałbym prosić z mej strony szanownego p. referenta, aby ze względów historycznej prawdy, tyczącej się druków polskich z czasów dawniejszych, raczył dodać sprostowanie. Szan. referent powiedział, że pierwszy raz dopiero w Anglji w roku 1709 spotykamy się z ustawą żabezpieczającą prawo własności literackiej. Tymczasem mamy polskie książki drukowane za szczególnym przywilejem JKMci od r. 1562 i zwykle drukarze otrzymywali szczególne przywileje królewskie, mając za sobą prawo i uchwały sejmów polskich już w w. XVI., które im służyły tak dalece, że jeżeliby którykolwiek z księgarzów ośmielił się książki za szczególnym przywilejem królewskim, wydanym na imię księgarza np. Łazarza lub Scharfenbergera przedrukowywać ulegał bardzo znacznej karze, konfiskowano mu wszystkie dzieła i zabraniano mu sprzedaży takowych. Byłby to więc tylko mniej więcej dodatek, tyczący się naszych polskich książek.

Drugą rzecz podniósł jeden z panów, co się tyczy sprawy dziennikarskiej, a mianowicie przedruków z gazet, co się dzieje jak samowolnie, a rzeczywiście ze szkodą i dla samych dzienników, że przedrukowują się różne rzeczy za pośrednictwem nożyczek bez żadnego zacytowania zkąd artykuł wzięty i przez kogo napisany. Tu tylko sumienność panów dziennikarzy powinna nadużyciom zapobiedz i jeżeli się oni wezmą za rękę i powiedzą sobie: „to rzecz nie moja, to byłaby kradzież publiczna“ i jeżeli tylko krótką uczynią wzmiankę: przedrukowane z „Czasu“, przedrukowane z „Dziennika pozn“ — najkompletniej uczyniona jest satysfakcja i autorowi i wszystkim innym względom (oklaski).

Hr. J. Tarnowski: P. Dr. Warschauer postawił wniosek, aby referat przedstawiony zjazdowi był oddany pod głosowanie. Tymczasem referat ten uważanym być powinien za rozprawę czysto akademicką. Wprawdzie pod względem praktycznym niema ona zakresu tak szerokiego, jakby miała może,

gdyby przedstawioną była zjazdowi w innym kraju, ponieważ nie posiadamy swojego prawodawczego ciała, na któryby konkluzje zjazdu mogły mieć wpływ, nie mamy ciała, któreby mogło wydawać uchwały o sprawie własności literackiej, obowiązujące dla literatów polskich — jednakże, jakkolwiek ograniczonym byłby zakres uchwał Zjazdu, pewien wpływ mieć one mogą. Ponieważ na międzynarodowych kongresach literackich zasiadają także, choć w małej liczbie reprezentanci polskiej literatury, więc uchwała powzięta przez zjazd literatów polskich mogłaby służyć za wskazówkę do występowania na tych zjazdach międzynarodowych. Pewniejszym już byłby każdy w takim razie swego poglądu, skoro będzie miał w swym głosie poparcie w uchwale licznego zgromadzenia i śmielej też będzie przemawiał. Mówił p. referent, że istnieje w tych kwestjach szkoła francuska i niemiecka, nie zaszkodziłoby. żeby i stanowisko polskie zaznaczone było. A więc jeżeli Szan. Zgromadzenie podziela konkluzje, jakie nam referent odczytał, zdaje się, że to będzie miało pewne znaczenie i doniosłość, jeżeli uchwałą zjazdu te konkluzje zostaną potwierdzone.

P. Szymanowski Wacław: Do tego co szan. mówca powiedział, uważam za stosowne z mej strony parę słów dodać. Jako uczestnik dotychczasowych zjazdów literackich międzynarodowych mogę Panów zapewnić, że wszyscy przedstawiciele literatur obcych dla polskiej literatury są niezmiernie chętni, do tego stopnia, że nawet Francuzi, którzy najbardziej bywają u nas przedrukowywani w tłomaczeniach i którzy najsilniej się upominają o to prawo własności literackiej, a może mają i do tego prawo, oznaczają ceny swych utworów niesłychanie tanio wyłącznie dla Polaków, tak, że nieraz za 2 ruble odstępują całe wydawnictwo. Więc i to, co Panowie tutaj powiedzieli, będzie zakomunikowane na kongresie międzynarodowym i będzie z tego ułożone osobne sprawozdanie (oklaski).

P. Piltz: Nie sądzę, aby to mogło być obecnie praktycznem, a to dlatego, że dziś stosunki międzynarodowe pomiędzy polską a obcą literaturą są takie, że my tłumaczymy z niemieckiej i francuskiej literatury całemi masami, a rosyjska literatura korzysta znów z naszej bez żadnego porozumienia się z naszymi autorami, tak, że gazety nawet antagonizmem polskim się kierujące przedrukowują całe powieści polskie, bez żadnego porozumienia się z autorami. Z jednej strony więc rossyjscy literaci prowadzą tę kontrabandę naszymi utworami, z drugiej strony my ją prowadzimy w stosunku do zachodu. Czy więc nie zanadto się zobowiązujemy, przyjmując przedstawioną nam tu zasadę, a to ze względu na nieuregulowane stosunki?

P. Parczewski: Pozwolę sobie myśl p. Rosenblatta popartą przez p. Piltza nieco bliżej sformułować, mianowicie myśl syndykatów, któreby mogły rozstrzygać wszystkie kwestje własności literackiej i artystycznej nie w drodze prawnej, bo do tego brakuje atrybucyj sądowych — ale któreby mogły wydawać rezolucje, mające charakter moralnej powagi. Otóż możeby dzisiejsze zgromadzenie uchwaliło w zasadzie utworzenie syndykatów, a samą kwestję organizacji powierzyło krakowskiemu i lwowskiemu Kołu, które bądź same, bądź w porozumieniu z najwyższą naszą powagą naukową, Akademją Umiejętności, podobne syndykaty zorganizowało, określiło warunki działalności i zajęło się wyborem osobistości (oklaski).

Tu na wniosek ks. kan. Polkowskiego zamknięto dyskusję; na liście nikt nie był zapisany do głosu, więc p. przewodniczący ogłosił zamknięcie dyskusji i udzielił głosu:

Referentowi: W uzupełnieniu mojego referatu dodam kilka słów. Naprzód na uwagę ks. kan. Polkowskiego najzupełniej się zgadzam i żałuję bardzo, że nie miałem czasu, bo tylko dwa dni mi na przygotowanie referatu wyznaczono, uczynić o tem w referacie wzmianki. Dziękuję więc za uwagę. Co się tyczy dalej moich wniosków, sądzę przedewszystkiem, że zjazd może uskutecznić to, co w referacie podniosłem, a co pp. Piltz Parczewski poparli, tj. uchwalić w zasadzie zorganizowanie takich syndykatów. Właśnie zaś w uzupełnieniu referatu chcę dodać, że w Niemczech nietylko się syndykaty potworzyły, ale nawet zyskały uznanie władzy, tak że wyszła ustawa, ktora nakazuje sądom w sprawach wątpliwych własności autorskiej zasięgać opinji tych syndykatów, których orzeczenia mają dla sądów moc obowiązującą. Nadto urzędują także te syndykaty jako polubowne sądy. Byłoby zatem stosowne, aby uchwalić w zasadzie utworzenie takich syndykatów i polecić wypracowanie dalsze Kołu krakowskiemu i lwowskiemu. Sądzę, że organizacja taka jest bardo łatwą i że do tych komitetów w skład mogą wchodzić osobistości ze wszystkich dzielnic kraju, bo tu nie jest koniecznem zbieranie się wszystkich członków. Mogą się one porozumiewać pisemnie, tj. w razie podniesionej kwestji przesyła się każdemu z członków komitetu dokumenty, dzieła, przedruki itp, a on obowiązany jest wypracować referat; później na podstawie referatów odbywa się głosowanie. A więc zdaje mi się, że zjazd najlepiej odpowie swemu powołaniu i zadaniu jeżeli uchwali przyjęcie w zasadzie utworzenia syndykatów polskich, któreby w charakterze sądów polubownych rozstrzygały spory tyczące się własności autorskiej.

Co się tyczy dalszych kroków zgodziłbym się i na to, aby przez sejm starać się o przeprowadzenie jakich środków, o ile rozchodzi się o opiekę międzynarodową. Więc możnaby przedłożyć ten projekt. Ale tę kwestję uważam za mniej ważną, bo organizacja komitetów może będzie praktyczniejszą i skuteczniejszą.

Ponieważ w obec 2 wniosków Dra Warschauera i p. Parczewskiego, na który zgodził się referent, dotychczasowa dyskusja wydała się zgromadzeniu niedostatecznie jeszcze rzecz wyczerpującą, otwarto ją na nowo i Dr. Jonathan Warschauer zabrał głos:

Wyszedłem z tego zapatrywania, że dyskusja tu prowadzona będzie, jak już jeden z mowców się wyraził, czysto akademicką, jeżeli się będziemy tylko zastanawiać, a nie sformułujemy rzeczy i nie obejmiemy jej w pewną całość. Chcąc mieć zatem jakikolwiek skutek, chociaż nie przesądzam, że skutek nastąpi, sądzę, że my, którzy żyjemy tu w państwie konstytucyjnem i mamy swoją izbę ustawodawczą, a jest nią sejm krajowy, powinniśmy się do tego sejmu krajowego udać. Może być, że to należy tylko do Rady państwa, jako rzecz, która wymaga konwencyi międzynarodowej czyli internacjonalnej, ale w każdym razie droga ta, którą pozwoliłem sobie podać, sądzę, że jest korzystną, bo całemu krajowi i reprezentantom jego w Sejmie musi i powinno zależeć, aby własność autorska była szanowaną.

Ponieważ w chwili, gdy przewodniczący chciał oba wnioski: Dra Warschauera i p. Parczewskiego (w porozumieniu z referentem) poddać pod głosowanie, tak, żeby głosowano naprzód nad wnioskiem Dra Warschauera, powstało w zgromadzeniu zamięszanie, więc wyjaśnił naprzód prof. Kasparek, że przedewszystkiem poddać należy pod głosowanie wnioski referenta po należytem sformułowaniu, a co się z temi uchwałami stanie, to już dalsza kwestja, a następnie p. referent przemówił: Mnie w referacie moim chodziło tylko o zasadnicze myśli, więc nie zgodziłbym się na ten wniosek, aby z tym referatem udawać się do sejmu. Zmieniłbym go jedynie o tyle, ażeby polecić Kołu art. liter. krakow. i lwow., aby jedno i drugie w porozumieniu

z dalszemi Kołami literackiemi i artystycznemi ułożyło zasady w duchu przedstawionych myśli i dalsze kroki w tym względzie poczyniło. Na razie zaś uważałbym za praktyczniejszy drugi wniosek, tyczący się syndykatów.

Pomimo tego przewodniczący chce poddać naprzód pod głosowanie wniosek Dra Warschauera, przeciw czemu podnoszą się głosy twierdzące, iż w razie uchwalenia naprzód tego wniosku nie będzie jeszcze wiadomem, z jakim materjałem i żądaniami udać się do sejmu, a

Dr. Warschauer otrzymawszy głos w sprawie formalnej mówi:

Chciałem właśnie przemówić w sprawie formalnej, ale skoro mój wniosek został zaatakowany i zanihilowany, więc muszę go poprzeć raz jeszcze. Powiedziałem wyraźnie, że chodzi mi o to, aby dyskusja tutaj nie stała się bezowocną, powiedziałem też, że dopiero po powzięciu uchwały nad referatem Dra Rosenblatta powinniśmy uchwalić, udać się do naszej izby ustawodawczej, jaką jest sejm krajowy. We wniosku moim miałem to na względzie, że znajdujemy się w państwie konstytucyjnem i mamy prawo udania się do sejmu, bo prawo petycji każdemu dozwolone. Nie spodziewam się wielkiego skutku, ale w każdym razie będzie to przypomnieniem naszym posłom, jeżeliby w Radzie państwa sprawa była podniesioną, aby głos nasz był zakomunikowany.

P. Parczewski: P. Dr. Rosenblatt w swym referacie nie proponował nic takiego, z czem możnaby przyjść do sejmu, nie proponował żadnych zmian, któreby miały określić prawo własności literackiej. Własność sądowa jest już zapewniona, w Rossji np. z kazuistyką nadzwyczaj drobiazgową. Tu chodzi o utworzenie instytucji, któraby zabezpieczyła własność literacką w drodze moralnej, w tych wypadkach, gdzie niema na to dróg prawnych. Wiadoma to rzecz, że jest różnica między kontrefakcją a plagiatem. Tu kwestja nie da się na korzyść poszkodowanego rozstrzygnąć w drodze sądowej, chociaż w drodze moralnej na podstawie czystej sprawiedliwości trzeba w danym wypadku powiedzieć, że pokrzywdzenie nastąpiło. Ażeby tego rodzaju pokrzywdzeń nie było, aby nie było tych sporów o przedruki gazeciarskie, z któremi niepodobna przychodzić do sądów i zapychać je tak drobnemi kwestjami, można utworzyć tego rodzaju syndykaty, któreby zapobiegały nadużyciom w takich wypadkach. A więc syndykaty mają zapobiedz plagiatom i w drodze moralnej osłony, moralnej powagi, usunąć braki niedokładnego i niemogącego być dokładnem prawodawstwa sprawie, jaką jest własność literacka. Syndykaty te rozstrzygać będą wówczas, jeżeli obie strony przyjdą, albo także gdy jedna przyjdzie; orzeczenia ich mają charakter czysto moralnej powagi. Na drogę zaś prawodawczą z tem się udawać uważam za rzecz zbyteczną.

P. Smolka: Wniosek Dra Warschauera nie może mieć praktycznej doniosłości, ponieważ nawet podług prawa austrjackiego sejm galicyjski nie byłby kompetentnym, aby jakąkolwiek ustawę dla Galicji mógł w tym kierunku wydać. Pominąwszy już to, że nie chodzi o samą Galicję, ale i o inne dzielnice, których przedstawiciele siedzą w naszym gronie, sądzę, że tylko wniosek o syndykatach jest praktyczny i może stworzyć dla autorów rodzaj moralnej władzy, gdy te syndykaty funkcjonować będą w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu. Że zaś niema sposobności w drodze ustawodawczej sprawy tej uregulować, więc sprzeciwiam się wnioskowi p. Warszauera

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORDYNANS.

Szkic Edmunda de Amicis.

Przekład z włoskiego

E. H.

Zdarzało mi się spotykać w życiu nieraz oryginałów, lecz drugi taki, nie urodził się chyba pod słońcem.

Rodem sardyńczyk, wieśniak, miał lat dwadzieścia jeden. Pisać nie umiał, służył, jako żołnierz, w piechocie. Gdym go po raz pierwszy spotkał we Florencji, w redakcji dziennika wojennego, uczułem dla niego pewną sympatję. Postać jego i krótkie odpowiedzi, jakich na me pytania udzielał, dały mi poznać od razu, że to oryginał nielada. Miał twarz zupełnie inną, gdy się na nią patrzało z przodu lub z boku. Skoro się tylko odwrócił, zdawało się, że się wszystkie rysy zmieniły zupełnie. *En face*, niczem szczególnem nie raził, lecz profil był taki zabawny, że mimowoli pobudzał do śmiechu. Końce nosa i podbródka starały się ku sobie zbliżyć, bez skutku jednak, stawały bowiem na przeszkodzie grube, zawsze otwarte wargi, z pomiędzy których wyglądały dwa rzędy zębów, równych jak pluton gwardzistów. Oczy wydawały się jako dwie główki od szpilek, tak były małe; skoro się śmiał, nikły prawie zupełnie. Brwi reprezentowały kształt dwóch ostrokątów; czoło było tak niskie, że służyło tylko za wąski pas graniczny między włosami na głowie a brodzie. Jeden z moich przyjaciół mawiał, że ten człowiek wygląda, jakby u myślnie na śmiech został stworzony. A jednak w zabawnej twarzy rozlany był wyraz inteligencji i dobroci; tylko — jeśli się tak wyrazić godzi — inteligencji jednostronnej i dobroci *sui generis*. Głos miał szorstki, gardłowy; włoski język jego tak był dziwaczny, że mógł go śmiało za własny wynalazek ogłosić.

— Jak ci się podoba Florencja — spytałem go nazajutrz, po przyjeździe do tego miasta.

— Niczego — odpowiedział.

Od tego, kto widział tylko Cagliari parę innych małych miasteczek, odpowiedź taka wydawała się dość obojętną.

Coż ci się więcej podoba, Florencja czy Bergamo?

— Dopiero wczoraj przyjechałem; nie mogę jeszcze osądzić.

Gdy odchodził, rzekłem mu: — *addio*; — on mi również: *addio*, odpowiedział.

Nazajutrz przydano mi go na ordynansa.

Z początku, po sto razy dziennie traciłem cierpliwość, chciałem go odesłać do pułku. Żeby jedynie nic nie rozumiał, *transeat*: lecz na nieszczęście, czy, że nie pojmował dobrze po włosku, czy, że obce sobie dotychczas obowiązki miał pełnić, — pojmował tylko w połowie, a robił wszystko na opak. Brzytwy odnosił do drukarza, a rękopisy zostawiał u szlifierza: romans francuski niósł do szewca, a buty do mieszkania pewnej signory. Nietylko, że nie rozumiał, jak należy, lecz był i roztargniony, z powodu czego strzelał bąki, których niktby wiliczyć nie zdołał.

Nie mogę się jednak powstrzymać od wymienienia niektórych jego najwybitniejszych *qui pro quo*.

O jedenastej rano, posyłałem go zwykle po wędlinę i przekąskę; o tej samej godzinie sprzedają na ulicach *Corriere italiano*. Pewnego dnia, wiedząc, że w tej gazecie jest artykuł interesujący, mówię mu: — Przynieś mi żywo szynki i masła na śniadanie, a kup także *Corriere italiano*. Dwa wyobrażenia jednocześnie nie mogły się w jego głowie pomieścić. Wychodzi i po chwili przynosi mi szynki i masło — zawinięto w *Corriere italiano*.

Pewnego razu pokazywałem w jego obecności jednemu z moich przyjaciół przepyszny atlas wojskowy, pożyczony z bibljoteki i rzekłem: Szkoda, że nie mogę kart wszystkich objąć okiem odrazu; lecz muszę je jedną po drugiej przeglądać. Żeby sobie dobrze uprzytomnić bitwę chciałbym je mieć wszystkie przytwierdzone na ścianie, rzędem, iżby jedną całość tworzyły.

— Wieczorem wracam do mieszkania... I teraz mnie jeszcze dreszcz przyjmuje, gdy wspomnę. Wszystkie karty atlasu poprzebijane ujrzałem do ściany! Ku tem większemu udręczeniu, trzeba go było widzieć, gdy się zjawił nazajutrz z miną, skr mnie uśmiechniętą, jak człowiek, któremu się słusznie podziękowanie należy.

Kazałem mu kupić parę jaj, żeby je ugotować na spirytusie. Po chwili przyszedł któryś z moich przyjaciół dla rozmówienia się ze mną w pilnym interesie. Mój ordynans wraca: — Czekaj — mówię mu. On sobie siada w kącie, a ja rozmawiałem dalej. Po chwili, — patrzę na niego... cała twarz umalowana. Spojrzałem na stołek, na którym siedział, — na jednej nóżce coś widzę żółtego. Zbliżam się, żółtko od jajka. Włożył błazen jaja do tylnej kieszeni kapoty, a wróciwszy do domu, usiadł, zapomniawszy o wszystkiem. Oparł się ręką o stołek i ufarbował oblicze.

Wszystko to jednak jest niczem w porównaniu z męczarnią, którą sobie zadać musiałem n m go nauczyłem sprzątać w pokoju, nie mówię — jak należy, lecz tak przynajmniej, jak to czynią ludzie o zdrowych zmysłach. W jego przekonaniu porządkowanie zasadzało się na tem, żeby układać jeden przedmiot na drugim, dla stworzenia jakiejś architektonicznej budowy; najbardziej był rad z siebie, gdy mu się udało jak najwyższy gmach wznieść. Z początku książki służyły za fundamenta do budowli, które drżały przy najlżejszem wstrząśnieniu. Wywrócona dnem do góry miednica podtrzymywała śmiałą piramidę, utworzoną z różnych podstawek i flakonów, na szczycie której figurował pędzelek do golenia. Kapelusze i cylindry, stare i nowe, ustanowione jedne na drugich, tworzyły kolumnę tryumfalną, takiej wysokości, że patrząc na nią, dostawało się zawrotu głowy. Stąd też trafiały się często, nieraz wśród nocy, straszliwe katastrofy i spustoszenia okropne. Gdyby nie ściany pokoju, nikt przewidzieć nie zdoła, do jakichby one przerażających dojść mogły rozmiarów. Żeby mu dać do zrozumienia, że szczoteczki do zębów i szczotki do czyszczenia butów mają miejsca właściwe; że słoik z pomadą i słoik z ekstraktem mięsnym są sobie obce; że w nocnym stoliku niema miejsca na świeżo uprasowaną bieliznę, — potrzebowałem wymowy Cicerona i cierpliwości Hioba.

Nigdy się o tem dowiedzieć nie mogłem, czy za dobre z nim obejście był mi wdzięcznym i czy miał dla mnie życzliwości choć trochę. Jedyny raz okazał pewnego rodzaju o mą osobę troskliwość i to w najdziwniejszy sposób. Od dwóch tygodni leżałem w łóżku, chory; przez cały ten czas stan mój nie pogorszał się, ani polepszał. Pewnego razu, wieczorem, sardyńczyk zatrzymuje na schodach mego doktora, nadzwyczaj obrażliwego człowieka, i pyta go ostro: — No, cóż przecie, wyleczy go pan? — Doktor się rozzłościł i zmył mu głowę porządnie. Bo już tego trochę za długo, — mruknął mu żołnierz.

Miewał czasami tak zabawne pomysły, że chociaż wypadało go zgromić, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Pewnego rana budzi mnie, szepcząc do ucha głosem, pełnym szczególnego znaczenia: — Panie poruczniku! kto śpi, ptaszków nie upoluje.

Wsuwa się raz do pokoju, w chwili, gdy z mego mieszkania wychodziła pewna znakomita osoba, i słyszy; jak mówi jeden z moich przyjaciół, że ten pan *jest to osobistość bardzo znana.*

We dwa tygodnie potem, rozmawiałem u siebie z kilkoma przyjaciółmi — w tem mój ordynans zbliża się i oznajmia mi przybycie gościa.

— Któż to jest? — pytam.

— To on... odpowiedział, jąkając się (ponieważ nie pamiętał jego nazwiska)... panie poruczniku, to *ta osobistość bardzo znana.*

Nastąpił wybuch śmiechu. Nowoprzybyły gość słyszał to, musiałem mu przeto wytłómaczyć rzecz całą, przez co i on uśmiał się z nami z tytułu jaki otrzymał.

Niepodobna dać pojęcia o języku, jakim mówił ciekawy, ten subjekt. Była to mieszanina sardyńskiego, lombardzkiego i włoskiego; posługiwał się krótkiemi zdaniami, używał wyrażeń jaknajzawięźlejszych, słów używanych. Zdawało się niekiedy, że mówi w gorączce.

Po kilkunastumiesięcznem uczęszczaniu do szkoły pułkowej, nauczył się jako tako czytać. Było to prawdziwe dla mie nieszczęście. Podczas nieobecności mojej siedział przy mojem biurku i wprawiał się w pisanie, gryzmoląc jeden wyraz po sto, dwieście razy. Był to najczęściej pierwszy wyraz, który zwrócił jego uwagę, gdym z rana czytał coś głośno dla siebie. Raz, naprzykład, uderzyło go imię Kleopatra. Wieczorem wracam i znajduję Kleopatrę, wypisaną na wszystkich marginesach dzienników, na odwrotnej stronie druków, na rogach listów, na okładkach książek, wszędzie gdzie tylko znalazło się miejsce, na umieszczenie tego czterozgłoskowego imienia, które tak sobie upodobał. Innego dnia uderzył go wyraz Ostrogot i nazajutrz miałem najście Ostrogotów w mieszkaniu. Kiedyś znowu zachwyciła go nazwa nosorożca i dom mój zamienił się w menażerję tych zwierząt.

Skoro mowa o pisaniu, muszę wspomnieć o jeszcze dowcipniejszym jego wynalazku. Kupił sobie małą książeczkę z czystego papieru i wpisywał do niej przedmowy wszystkich książek, jakie mu tylko do rąk wpadły! w miejscu zaś nazwisk autorów, wstawiał nazwisko swego ojca, matki, brata, myśląc, że im dowody największego przywiązania i wdzięczności składa w ten sposób. Raz mi się udało zajrzeć do tej książeczki i przeczytałem następujący ustęp:

Piotrowi Franci (był to jego ojciec wieśniak), *który pracą, i talentem zdobył sobie wysokie stanowisko wśród ludzi nauki, wspomagał i braci, starannie wychował synów. Pamięci najlepszego ojca, to dzieło poświęca Antonio Franci* (w miejscu Lichele Sassona.

W innem miejscu pisał: *Memu ojcu, Piotrowi Franci który, oznajmiając parlamentowi niższych Alp o przegranej pod Novarą, padł rażony promieniami słońca i w parę dni potem żyć przestał* (A jego ojciec żył zdrów).

Najbardziej mnie zdumiewało, że ten wieśniak, który tak mało widział w życiu, chociażby zobaczył najosobliwsze cudo, nie dziwił się wcale. W czasie jego pobytu we Florencji odbywały się uroczystości z powodu zaślubin księcia Humberta dzisiejszego króla włoskiego, widział operę i bal w Pergolu (nie będąc poprzednio nigdy w teatrze); zabawy karnawałowe i fantastyczną iluminację na *Via dei Colli*; widział setki innych ciekawych i zupełnie nowych dla siebie przedmiotów, któreby go zdumiewać i bawić powinny, o których mógłby przecież pomówić. Bynajmniej. Jego uwielbienie ograniczało się wiecznie na jednym wyrazie „niczego“ Niczego... Santa Maria del Fiore... Niczego; Brama egiotto. — Niczego. Pałac Pitti. — Niczego. Sądzę, że gdyby go sam pan Bóg zapytał, co myśli o stworzeniu świata, odpowiedziałby: niczego.

Od pierwszego do ostatniego dnia, spędzonego przy mnie humor miał zawsze je-

dnakowy, nie zbyt poważny, ani też wesoły zawsze uległy, rotrzepany, pojmujący rzeczy na odwrót, pogrążony w apatycznem lenistwie i zawsze na swój sposób półgłówek. W dniu, w którym otrzymał uwolnienie, gryzmolił jak zwykle, przez parę godzin różne niedorzeczności w znakomitej owej książeczce.

Przed odejściem przyszedł mnie pożegnać. Scena rozstania nie była zbyt czuła. Spytałem czy mu nie żal opuszczać Florencji? — Czemu nie? — rzekł. — Zapytałem go jeszcze czy rad jest, że powracał do domu? W miejsce odpowiedzi niezrozumiale coś mruknął.

Jeśliby pan czego potrzebował, rzekł w ostatniej chwili, — niech pan tylko napisze, sprawi mi to wielką przyjemność.

Dziękuję ci mój kochany, — odpowiedziałem. Po dwuletnim w moim domu pobycie, odszedł nie okazując najmniejszego żalu, ani radości.

Śledziłem go, gdy schodził ze schodów. Odwróciłem się nagle.

— Zobaczywszy,—pomyślałem—obudzi się przecie w nim serce, przyjdzie w inny sposób pożegnać się ze mną.

— Panie poruczniku,—zawołał—pędzeek do golenia włożyłem do szuflady większego stolika.

I z temi słowy z oczu mi zniknął.

ZIARNKA.

Repertoar naszej sceny ożywił się znacznie w ubiegłym tygodniu. Mieliśmy parę nowości, i to nowości oryginalnych, nie tuzinkowych — ba nawet rzadkich już dzisiaj. Tragedja przecież nie należy już w naszych czasach do zjawisk codziennych, a taką ujrzeliśmy na scenie naszego teatru. Nie od wczoraj już znany poeta Karol Brzozowski uraczył nas dziełem wysokiej wartości, przecudownie poetyczną rzeczą p. t. „Malek". Dzisiaj wstrzymujemy się dla braku miejsca od szczegółowej oceny. Umieścimy ją w jednym z najbliższych numerów, bo najprzód, że rzecz godna jest ściślejszego zastanowienia, a powtóre ze względu na głosy krytyki, które nie brzmiały zbyt zgodnie. Oprócz wspomnianej tragedji mieliśmy jeszcze debiut p. Zapolskiej, jako autorki dramatycznej. Wystąpiła po raz pierwszy za zręcznie i z talentem napisaną bluetką o poważnym kolorycie p. t. „Pierwszy bal". Autor „Pana Damazego" zaś wypuścił ze swej pracowni nową jednoaktówkę p. t. „Ciocia na wydaniu". O obydwóch utworach pomówimy w następnym numerze.

* * *

Otwarcie teatru czeskiego. Doczekali się nakoniec pobratymcy nasi Czesi uroczystej chwili, dnia radości i tryumfu. W niedzielę w południe odbyła się w nowym wspaniałym taatrze akademja, czyli uroczys e przedstawienie, złożone z dwóch nowych uwertur Smetany i Dworzaka oraz prologu pióra Jarosława Vrchlickiego. Wieczorem zaś odbyło się galowe przedstawienie; odegrano oryginalną operę Smetany „Libuszę". W sali literalnie przepełnionej znajdowali się namiestnik Czech i namiestnik Morawy oraz wielka liczba gości zagranicznych, pomiędzy któremi zwracali szczególniejszą uwagę goście polscy w strojach narodowych Przedstawienie wypadło świetnie, wystawa była olśniewającą, do czego przyczyniło się imponujące oświetlenie elektryczne. Brzy oddawaniu teatru narodowego przez komitet budowy, dr. Rieger wypowiedział gorącą mowę o wysokiem narodowem i artystycznem posłannictwie sceny. Z niesłychanym zapałem i entuzjazmem przyjęła publiczność tę mowę. Oprócz Riegera wypowiedzieli jeszcze mowy prezes komitetu budowy Skramlik i dyrektor Schubert. Uroczystość zakończono trzykrotnym okrzykiem „Slava!" Wieczorem odśpiewano w teatrze kantatę kompozycji Bendla, przez dwustu śpiewaków towarzystwa „Hlahol".

Sam gmach teatru przedstawia się tak zewnątrz jak w wewnętrznem urządzeniu okazale. Sala duża mogąca pomieścić przeszło 2.000 widzów.

Gości obcych zjechało się bardzo wiele, największy jednak udział stanowili Polacy, z tych zaś ostatnich koroniarze. Niemcy podczas całej uroczystości zachowali się szyderczo, ale spokojnie.

* * *

„Mazur". Niejeden z czytelników zdziwi się zapewne czytając ten tytuł i sądzić będzie, że mamy zamiar mówić — o tańcach. Tymczasem jest to tytuł nowego czasopisma, mianowicie Tygodnika politycznego, który ma stanąć na straży interesów polskiego ludu zamieszkałego w wschodnich Prusiech, a którego ilość dochodzi 300.000

A biedny to lud! z powodu ewangielickiego wyznania nie przyznający się do łączności narodowej z Polakami — lub — to już wystawiony jest na wszelkiego rodzaju germanizacyjne tortury! To, co dziś doznaje Poznańskie, cierpiał on już lat temu 50 i myśmy nie wiedzieli o tem, nie spieszyliśmy z pomocą naszej braci — bośmy nawet nie wiedzieli, że znajduje się polski lud w wschodnich Prusiech. Zostawiliśmy mazurów ich losowi — toż germanizacja postępowała z rozpiętemi żaglami. Uległa przed nią opozycja Mazurów po śmierci Gizewiusza 1848 r., który pierwszy rozpoczął walkę o ojczysty język. — Po latach trzydziestu kilku powstaje nowy szermierz narodowej sprawy na pruskiem mazowszu *„Mazur"* pod redakcją Jana Karola Sembrzyckiego. Okazowy numer pisma tego mamy już przed sobą. Drukowany gotyckiemi czcionkami jak wszystkie pisma wychodzące na pruskiem Mazowszu, — w artykule wstępnym pod napisem „Mili bracia i przyjaciele" zapowiada, że wychodzić będzie od Nowego roku pod hasłem „Bój się Boga, czcij króla, kochaj bliźniego, a szanuj język ojców, to prawo Boga, a obowiązek człowieka". „Jeszcze raz mówię — dodaje w końcu p. Sembrzycki — że „Mazur" chce być Waszym przyjacielem, a zawsze i wszędzie nim będzie, będzie, bo ja sam jestem z chłopskiego stanu, mój dziad poczciwy staruszek w pocie czoła uprawiał mazurską rolę — ja znam wszystkie Wasze potrzeby, Wasze trudy i cierpienia". Umiarkowany ton w jakim przemawia pan Sembrzycki do swych czytelników wśród mazurów, przekonywa nas o prawdzie jego słów, bo tylko ten, kto wie że Mazurzy niestety za hańbę uważają nazwisko „polak" a dla odróżnienia się od niemców „mazurami" się zowią, kto wie, jak lud ten ma wielkie wyobrażenie o swym królu, jak jest religijnym, łatwo zrozumie dla czego tak, a nie inaczej pisze p. Sembrzycki. Bo zadaniem jego przedewszystkiem pozyskać sobie zaufanie mazurów, by módz następnie działać wśród nich skutecznie dla narodowej sprawy. Witamy więc serdecznie „Mazura" życzymy mu powodzenia z całego serca, czytelników zaś naszych prosimy, by jak najliczniejszą prenumeratą nowemu czasopismu przyszli w pomoc.

ZAPISKI.

Literatura.

* Poradnik dla nielekarzy. Pod tym tytułem wydał jeden z naszych najznakomitszych lekarzy popularnie napisaną, a przytem z przezornością książkę lekarską.

* P. Henryk Blaze de Bury pomieścił świeżo w „Revue des deux Mondes“ szereg niezmiernie interesujących wspomnień o Chopinie, przeplatanych anegdotami z jego życia. Szczególną ciekawość wzbudzają ustępy, odnoszace się do pierwszych występów Chopina w Paryżu, oraz opis podróży jego na Majorkę z George-Sand.

* P. Papatawa ogłosił okólnik wzywający wszystkich cywilistów do nadsyłania mu kartek z tytułami dzieł, do składanej przezeń bibljografii w języku włoskim.

* W Krakowie wyszedł nakładem Akademji umiejętności „Opis bitwy pod Lubieszowem“ w dn. 17 kwietnia 1577 między królem Stefanem Batorym a Gdańszczanami przez Ferdynanda Kudelkę. Rzecz umiejętnie, militarnie i historycznie napisana.

* Dnia 1. listopada wyszedł z pod prasy 47. zeszyt „Słownika geograficznego polskiego“ i obejmuje miejscowości od Krzywcza do Kunów.

* Jan Zacharjewicz wydał w Warszawie nakładem księgarni T. Paprockiego serję nowel i opowiadań, która zawiera: Pojedynek; Niedokończony Telegram; Preferans po śmierci; Fałszywy Król; Konfederat.

Teatr i muzyka.

* „Międzynarodowy klub gitarzystów zawiązał się w Lipsku. Ma on na celu pielęgnowanie i przywrócenie do dawnego znaczenia tego na pół już zapomnianego instrumentu.

* Na scenie teatru „Vaudeville“ w Paryżu ukaże się jako nowość przeróbka dramatyczna ze znanej czytelnikom polskim powieści Daudeta p. t. „Królowie na wygnaniu“ (Les rois en exil). Przeróbki dokonał Coquelin starszy.

* W Stanisławowie grywa obecnie z powodzeniem trupa dramatyczna pod dyrekcją p. H. Laskiego. Repertuar nie wielce urozmaicony i świeży, a towarzystwo wcale nie złe.

* Mierzwiński występami swemi w Petersburgu rozentuzjazmował publiczność. Cała prasa petersburgska pochwalnie się o nim wyraża.

* Pani Rakiewiczowa artystka teatrów warszawskich obchodziła w tych dniach uroczyście jubileusz 25 letniej pracy scenicznej.

* W Niemczech umarła w ubiegłym tygodniu Ernestyna Wegner, bardzo utalentowana i sympatyczna artystka dramatyczna. Nazywano ją „Galmayer północy“. Umarła w kwiecie wieku i w pełnym rozwoju swego talentu.

* W Warszawie wyszło „Tuzin komedyj i obrazków scenicznych dla młodzieży“ przez Leopolda Świderskiego.

* Słynny tragik Ernest Rossi, przetłumaczył na język włoski szekspirowskiego Juljusza Cezara, którym powiększy szereg swoich wspaniałe odtwarzanych kreacji.

* Opera paryska wystawi jeszcze w bieżącym sezonie najnowszy utwór Gounoda „Sapho“, do której tekst napisał Augier.

* Panna Hajota utalentowana nowelistka napisała 3-aktową komedję p. t. „U swoich“ osnutą na stosunkach towarzyskich u wód galicyjskich.

Sztuki piękne.

* Dnia 18. b. m. nastąpiło w Pradze otwarcie dźwigniętego z gruzów ofiarnością całej ludności teatru czeskiego. Złota Praga oczekuje gości ze wszystkich stron słowiańszczyzny. Ze Lwowa wyjechał p. Jan Dobrzański.

* P. Julian Bełtowski snycerz, który 10 lat bawił w Paryżu i otrzymał w 78 r. medal srebrny na paryskiej „Exposition collective internationale ouvriere“, wykonał piękną rzeźbę, przedstawiającą zwycięzkiego Sobieskiego.

* Pomnik dla Leibnitza odsłonięty został w Lipsku dnia 25. z. m.

* W Paryżu nastąpiło z wielką okazałością odsłonięcie pomnika A. Dumasa ojca. Piękny pomnik jest dziełem zmarłego niedawno Gustawa Doré.

MISCELANEA.

Niejaki p. Czarliński, odbywszy podróż po Australji, gdzie czas dłuższy przebyć zamierza, skreśla swe wrażenia w liście, nadesłanym do „Kurj. Pozn.“ Wyjmujemy ztamtąd szczegóły dotyczące życia rozsianych w Australji rodaków naszych. Otóż podczas podróży jeszcze, na parowcu kompanji francuzkiej, spotkał się p. Cz. z miejscowym lekarzem dr. Piotrowskim. Po parudniowej podróży stanął p. Cz. w Adelaidzie, stolicy kolonij Australji. Miasto to, posiadające mnóstwo kościołów i kaplic wszelkich sekt angielskich i dwa kościoły rzymsko-katolickie, jako też siedzibą biskupa katolickiego i nowo założonego uniwersytetu. Instytucyj dobroczynnych tutaj, jak po wszystkich większych miastach australskich, jest wielka ilość. W dalszym ciągu podróży zwiedził p. Cz. osadę Sevenhill, gdzie doznał serdecznego przyjęcia w kolegjum jezuitów od ks. Rogalskiego. Sevenhill czyli Siedmiogóry, w połowie jest zamieszkanym przez polaków, reszta mieszkańców z rzadkiemi wyjątkami anglików, jest pochodzenia irlandzkiego, razem zaś liczba ludności dochodzi dwustu. O pół mili na południe, na drodze ku stacji Saddleworth; jest osada mniej więcej tejże wielkości: Penwortham, w trzech czwartych polska, a którą między swoimi nazywają Krakowem. W pobliżu leży osada Hiliriver, jest ona więcej polską od którego zapożyczyła drugie swoje nazwisko: Lwowa. Tu, co żyje, zna mowę polską i w niej się modli. Trzydzieści trzy rodzin uprawia z wielką korzyścią glebę bogatą i wdzięczną. Lwów ten jest gniazdem, z którego młodsze pokolenie wylatuje dalej na północ, by zasobami tu sebranemi tem więcej a więcej ziemi nabywać i ku swej obrócić korzyści. Kapliczka św. Stanisława służy w dnie powszednie za szkołę, w której bakałarz irlandzki, wyuczywszy się nieźle po polsku, uczy kilkadziesiąt malców płci obojga. Dzieci z Penwortham uczęszczają do szkółki Sióstr irlandzkich w Sevenhill, wszakże tu na nieszczęście uczenie się czegokolwiek w języku ojczystym jest niepodobieństwem, to też życzeniem tak o. R., jak ludności polskiej, odpowiednio do rzeczywistej potrzeby, byłoby sprowadzenie się dotąd jednej lub dwóch Sióstr zakonnych polskich. Nawet do Hillriver, w miejsce irlandczyka mówiącego nieźle po polsku, życzonoby sobie gorąco mieć nauczyciela prawdziwego polaka. W szkole w Hillriver znajduje się też bibliotеczka, z dzieł polskich złożona. Nadto starający się nasi ziomkowie o zachowanie łączności z krajem i rzeczami ojczystemi, abonują oprócz kilku pomniejszych pism, jak pelpińskiego „Pielgrzyma“ i „Gońca Wielkopolskiego“, nie wahając się płacić po 20 marek za egzemplarz.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.